



Informacje o książce

Autorzy: James R. Arnold & Ralph R. Reinertsen

Tłumaczenie: Katarzyna Mróz-Mazur

Wydawca: Napoleon V

Rok wydania: 2012

Stron: 404

Wymiary: 24,1 x 17 x 2,9 cm

Oprawa: twarda

ISBN: 978-83-61324-62-1

Recenzja

Zimą 1807 roku wydawało się, że armia francuska trafiła wreszcie na godnego siebie przeciwnika – armię rosyjską. Zwłaszcza po hekatombie pod Iławą Pruską w lutym Sprzymierzeni poczuili się nieco pewniej i postanowili kontynuować wojnę. Do kolejnej kampanii Napoleon przygotowywał się starannie. Nierozstrzygnięta bitwa zmobilizowała go do działania. Zupełnie inaczej było po stronie koalicyjnej, która nie po raz pierwszy w tamtych latach doszła do wniosku, że zbliża się właściwy moment i wkrótce będzie można się na Francuzach odegrać. Rozczarowanie, jakie przyniósł późniejszy triumf Cesarza pod Frydlandem, musiało więc być tym bardziej bolesne. Napoleon dopiął swego, doprowadzając do pokoju w Tylży i wyjścia Rosji z koalicji oraz całkowitej pacyfikacji Prus. W wyniku powyższego układu doszło również do utworzenia Księstwa Warszawskiego, co spełniło marzenia Polaków o odrodzeniu własnej państwowości, choć tylko połowicznie.

Książka Jamesa R. Arnolda i Ralphi R. Reinertsena przenosi nas do tych przełomowych momentów pierwszej połowy 1807 roku. Swoje wywody autorzy rozpoczynają od bitwy pod Ostrołęką, stoczonej 16 lutego 1807 roku, niedługo po bitwie pod Iławą Pruską. W kolejnych rozdziałach książki przedstawiono: działania wokół Gdańska i jego oblężenie, w tym walki na Mierzei Wiślanej (20 marca 1807), dalej mamy już kampanię wiosenną, począwszy od będącej zaskoczeniem dla Francuzów ofensywy Bennigsen'a i bitwy pod Dobrym Miastem (5 czerwca 1807; oraz kontrofensywę Napoleona i działania 8-9 czerwca 1807), następnie bitwę pod

Lidzbarkiem Warmińskim (9-10 czerwca 1807) i wreszcie wieńczącą kampanię bitwę pod Frydlandem (14 czerwca 1807), po której nastąpił pokój w Tylży. Spośród pomniejszych bitew omówiono także starcia pod Braniewem (26 lutego 1807) i Limitami (5 czerwca 1807), ponadto całkiem sporo informacji znajdziemy o działaniach pod twierdzą Wisłoujście i próbach odsieczy oblężonego Gdańska.

Książka napisana została lekkim stylem, bardzo strawnym dla przeciętnego czytelnika. Miejscami trafiają się fragmenty wręcz powieściowe. Do tekstu wplecione zostały elementy pamiętników żołnierzy i bohaterów tamtych dni, dodające jej kolorytu. Wydaje się, że autorzy napisali książkę, którą przede wszystkim będzie się dobrze czytało. Podjęli jednak temat słabo opracowany w literaturze przedmiotu, w tym polskiej, tym samym siłą rzeczy, publikacja ta będzie jednym ze źródeł wiedzy o kampanii wiosennej 1807 roku, w szczególności zaś opis bitwy pod Frydlandem, i od tej strony, być może trochę wbrew intencji autorów, musi być także oceniana.

Jeśli chodzi o uwagi krytyczne, zacznę od zaskakującej miejscami dla polskiego czytelnika charakterystyki naszego kraju w tamtych czasach. Jawi się on autorom jako dzika, niecywilizowana kraina, zapuszczona, zamieszkała przez dziwnych ludzi, w większości żyjących w nędzy i niewiedzy jak wiążących koniec z końcem. Wreszcie, gdy czytamy miejscami opis środowiska geograficznego, także można się nieco zdziwić (podkreślenia we wszystkich cytatach moje):

s. 28: „Kiedy podążał ze swoimi ludźmi za Oudinotem, znalazł się w innego rodzaju niebezpieczeństwie. Poganiając obsługę swoich 18 dział, aby dotrzymywała kroku oddziałom generała, usłyszał złowieszczy trzask pod stopami. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że pod śniegiem jest staw i że łód na nim załamuje się pod ciężarem dział. Wobec tego całkowicie już zrezygnowany Boulard rozkazał swojej obsłudze dział zejść z koni. Artylerzyści musieli posuwać się naprzód ostrożnie, zachowując szerokie odstępy między przodkami tak, aby mająca zdumiewające właściwości polska ziemia nie pochłonięła ich razem ze sprzętem.”

Z kolei na s. 47 przeczytamy o „zamarzniętych pustkowiach Polski”, a dalej, że „Na domiar złego, skutek odwilży, która przysła z końcem marca po długich miesiącach mroźnej zimy, wszystkie drogi zmieniły się w trzęsawiska pełne wody i błota, jakie można spotkać wyłącznie w Polsce”.

Z kolei o kraju ogólnie (s. 47): „Sam kraj był jednym z najuboższych w Europie; większość mieszkańców stanowili wieśniacy znajdujący się na skraju nędzy, ledwie dający radę przeżyć od jednych żniw do następnych. Tylko garstka uprzywilejowanych ludzi nie musiała cierpieć na skutek tych trudności.”

Druga sprawa, to autorzy ogólnie rzecz biorąc niezbyt wprawnie poruszają się po polskiej historii, czego dowiedli dobitnie na s. 47-48: „Co do stron konfliktu, z perspektywy historycznej trudno powiedzieć, która z nich znajdowała się w gorszym położeniu. Co najmniej około 40 000 Prusaków walczyło na ziemiach, które nominalnie należały do nich, ale zostały przez nich odzyskane zaledwie w 1795 roku, dzięki Trzeciemu Rozbiorowi Polski.

Traktat narzucony wtedy Polsce przemocą przez Rosjan stał to państwo z mapy Europy i

podzielił jego obszar między Rosję, Prusy i Austrię.

Od czasu jego podpisania rząd pruski nie poczynił jednak wielkich postępów w przekonywaniu Polaków, że są teraz Prusakami”.

Trudno mówić o „odzyskaniu” przez Prusaków jakichś ziem w wyniku trzeciego rozbioru Polski. Każdemu, nawet średnio interesującemu się historią, komentarz do powyższego jest zbędny.

Trzecia sprawa to często niepochlebne oceny polskich i cudzoziemskich jednostek Wielkiej Armii i ich działań. Jednostki te przedstawiane są kilkakrotnie jako niewyszkolone albo słabo wyszkolone, a żołnierze jako niezbyt cywilizowani i pałający niepohamowaną żądzą zemsty. Najpierw pozwolę sobie na kilka cytatów:

s. 60: „Natomiast 6500 Polaków, należących do X Korpusu (pomijając tu weteranów będących wcześniej w służbie francuskiej i wchodzących w skład Legii Północnej, jednostki utrzymywanej przez Francję) było marnie wyszkolonych. Nie można było przewidzieć, jak zachowają się podczas walki; pewne było natomiast, że wykazują się barbarzyńskim okrucieństwem.

Marszałek Francois Lefebvre skarżył się cesarzowi na ich postępowanie w stosunku do 1,5 [tys. – Raleen] żołnierzy z okrażonego garnizonu Tczewa. Informował, że dopuścili się przerażających zbrodni, spalili przedmieście, splądrowali wszystkie domy, złupili piwnice z winem, zamordowali wielu mieszkańców i w końcu bez potrzeby zużyli wszystkie swoje patроны. Trzy godziny po opuszczeniu przez Prusaków Tczewa Polacy wciąż prowadzili tak zaciekły ogień z karabinów, że francuscy artylerzyści musieli dla własnego bezpieczeństwa ewakuować się z miasta; zabili także pruskich żołnierzy, choć ci ostatni się poddali.”

s. 69: „Jednak już chwilę później pojawiła się tam kolumna wycofujących się Polaków. Uciekali oni przed Francuzami i chcieli jedynie obejść Sztutowo, ale polscy rekruci na ich widok wpadli w panikę i wycofali się z wioski. Montmariemu i jego oficerom z ogromnym trudem udało się zebrać polskich żołnierzy z powrotem i na ich czele znowu zająć niebronioną wieś.”

s. 70 (walki o Mierzę Wiślaną): „Zamierzał tam stawić opór, ale plan się nie powiódł; jego żołnierze byli pozbawieni woli walki. Oddawszy zatem tylko kilka strzałów z dział z dużej odległości, znowu ruszyli do odwrotu. Ich niechęć do walki wręcz nie zaskoczyła w zasadzie oficerów, którzy i tak wątpili w wartość bojową świeżych polskich rekrutów, będących w szeregach jednostek.”

s. 76: „Trzeba dodać, iż miał szczęście, że w ogóle przeżył; tylko dzięki interwencji francuskiego podoficera nie zginął od lanc żądnych zemsty Polaków.”

Wydaje się, że problem bierze się po pierwsze z mało krytycznego korzystania przez autorów ze źródeł niemieckojęzycznych, stworzonych przez Prusaków. Również w stosunku do źródeł francuskojęzycznych autorzy wykazują mało krytycyzmu. Rzecz nie dotyczy tylko Polaków, ale także innych narodowości (innych niż Francuzi) walczących w ramach Wielkiej Armii. Do naszych czasów przetrwały opinie o ogólnie niższej wartości bojowej żołnierzy innych nacji – w stosunku do Francuzów. Ich źródła można doszukiwać się już w „Biuletynach Wielkiej Armii”, które miały w zwyczaju faworyzowanie jednostek francuskich kosztem innych. Również opinie oficerów francuskich o swojej armii i armiach sojuszników nie mogły być w tym względzie

obiektywne. Autorzy temu ulegli, czego dowodzi ten fragment, znajdujący się w zakończeniu książki:

s. 307: „Dodać trzeba, że dla cudzoziemców będących zawodowymi żołnierzami możliwość służenia w najbardziej zwycięskiej armii tamtej epoki istotnie stanowiła kuszącą perspektywę i skłaniała ich do jak najlepszego działania; nic dziwnego, skoro walka była dla nich całym życiem. Jednak, jak miała pokazać przyszłość, poborowi z państw sprzymierzonych z Francją, którzy przeważali w szeregach Wielkiej Armii, nie sprawdzili się. Ta grupa z kolei nie miała motywacji do walki i nie chciała ginąć po to, aby Napoleon mógł powiększyć swoje imperium.”

Tak więc, autorzy mają zbudowany ogólny pogląd tego rodzaju, że francuscy żołnierze byli lepsi, a inni gorsi, bo walczyli nie za swoją sprawę. Źródłem tej ostatniej opinii „że nie chcieli ginąć za Napoleona”, można się z kolei doszukiwać w anglosaskim podejściu do tematu i ocenie Cesarza. Dla dawniejszych autorów z tamtego kręgu kulturowego było trudnym do zrozumienia, że obcy żołnierze mogli walczyć za Napoleona z przekonaniem. Dla nich Napoleon był tyranem, wrogiem wolności i trudno byłoby pogodzić z takim jego obrazem tych żołnierzy walczących za niego nie pod przymusem. Przede wszystkim jednak błędna jest teza o tym, że oddziały sojusznicze zawsze czy w większości były gorsze jakościowo i gorzej się biły. Bardzo dobrze pokazuje to Robert Bielecki w swojej „Wielkiej Armii”. Jedną z tez tej książki jest właśnie dążenie do zmiany wizerunku oddziałów cudzoziemskich Wielkiej Armii i pokazanie ich nieraz bardzo pokaźnego wkładu w jej sukcesy oraz tego, że oddziały te niejednokrotnie były się lepiej niż francuskie. I bynajmniej nie chodzi tu tylko o oddziały polskie.

Na koniec tego wątku jeszcze jeden fragment i przykład bezkrytycznego korzystania ze źródeł pruskich, który przyznam, że mnie osobiście bardzo rozbawił:

s. 75: „Major Wilhelm von Krockow, który dowodził tą operacją, cieszył się reputacją śmiałego partyzanta. Można go porównać do Banastre’a Tarletona, bohatera wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych: Krockow także najlepiej działał podczas małej wojny, wymagającej operowania mniejszymi oddziałami, a swoich polskich przeciwników rozbijał z taką łatwością, jak legioniści Tarletona milicję amerykańską. Z powodu

swojej niezwyklej waleczności i symbolu czaszki na hełmach żołnierze z Freikorps byli nazywani przez Polaków „jegrami śmierci”.

Inne jednostki pruskie, powodowane zawiścią, używały jednak przezwiska „kocie główki” – jako że piesi i konni strzelcy z Freikorps nosili charakterystyczne kaski ozdobione końskim włosiem.”

Co z tego rodzaju „kawałkami” zrobił wydawca? Szczęśliwie są one w wielu przypadkach opatrzone przypisami odredakcyjnymi autorstwa Mariusza Promisa. Wykonał on przy tym (i ogólnie przy redakcji merytorycznej książki) wiele dobrej roboty. Przypisy odredakcyjne są liczne. Bardzo często wskazywane są inne relacje, alternatywne w stosunku do tego co piszą autorzy, prostujące niektóre fragmenty. Ogólnie rzecz biorąc, przypisów jest mnóstwo i to konkretnych, nieraz znacznie poszerzających wiedzę czytelnika. Dla wielu z pewnością wartościowe będą pojawiające się tu i ówdzie porównania do wydanej w 2011 r. przez Inforteditions pracy Sławomira Skowronka „Guttstadt i Heilsberg. Działania w rejonie Dobrego Miasta i Lidzbarka Warmińskiego 4-12 czerwca 1807”, częściowo pokrywającej się z tematyką

recenzowanej książki (choć posiadającej węższy zakres – jak widać choćby z tytułu).

Wróćmy jednak do zalet i wad merytorycznych książki. Zalety to bardzo plastyczne, miejscami dość szczegółowe opisy bitew. Autorzy sięgają do pamiętników, piszą trochę fabularyzując. Walki ukazane zostały prosto i przejrzyście, z punktu widzenia nowego czytelnika bardzo przystępnie. Do książki dołączone są mapki z zaznaczonymi pozycjami wojsk (kolejny plus), ale opis jest na tyle klarowny, że po polu bitwy można się poruszać bez nich. Taktyka wojsk ukazana została dobrze, zwłaszcza na niższym szczeblu (w tym miejscu warto wspomnieć także schematy uszycowania wojsk). Tego, czego trochę brakuje, to pewnej głębszej analizy planu działań wodzów, zwłaszcza Napoleona. Z kolei po stronie rosyjskiej, z opisu bitwy pod Frydlandem można odnieść wrażenie, że decydujący dla klęski był stan pęcherza moczowego gen. Bennigsena (w czym jest oczywiście sporo prawdy).

Jeśli chodzi o poglądy autorów, rzecz by można, przenikające całą książkę, zwrócił moją uwagę ten wyrażony na s. 308-309, dotyczący napoleońskich dowódców tego okresu. Chodzi o promowanie ludzi śmiałych i odważnych oraz skupianie się na tych cechach charakteru oficerów, co niejednokrotnie popychało ich do brawurowych ataków, byle wyróżnić się i uzyskać awans, nawet jeśli dowodzone przez nich oddziały poniosą w wyniku tego duże straty i samo zwycięstwo w starciu okaże się mieć co najwyżej wątpliwą wartość taktyczną. Autorzy ujmują to następująco: „Pewien saski generał, który obserwował działalność sztabu głównego cesarza, opowiadał, że gromadzi się tam „cała armia tego rodzaju gorących głów”, i że należący do tej grupy zapaleńcy z desperacją zabierają się za ryzykowne przedsięwzięcia, „ponieważ wiedzą, że podejmowanie zuchwałych działań, które automatycznie muszą zakończyć się katastrofą, jest zawsze usprawiedliwione w oczach cesarza”. Tych młodych ludzi przerażało tylko jedno: perspektywa zawarcia pokoju. Fakt, że awansowano tego typu osoby, miał pewne negatywne konsekwencje. Jedną z nich było zwiększenie się liczby generałów dywizji i brygad nie znających się na strategii i taktyce (nie mówiąc już o kwestiach administracyjnych i logistycznych). Dowódcy ci wiedzieli tylko, jak wykonać ostry, forsowny marsz, a po nim przeprowadzić nagły, szybki atak. Nie mieli natomiast pojęcia, jak ocenić pozycję, ani co zrobić, jeśli wróg odeprze ich pierwsze natarcie.”

Patrząc na opisy działań, wydaje się, że wiele z nich ukazane zostało w takim duchu. Nieraz posunięcia oficerów i generałów wyglądają jakby były nieco bezmyślne i autorzy nie zadają sobie trudu, by poszukać sensu, by wyjaśnić czytelnikowi dlaczego oddziały danego dowódcy nacierały w taki bądź inny sposób. Wyżej zacytowana opinia, zaczerpnięta przez nich z jednego z opracowań z 1931 r., miała pewien wpływ na sposób przedstawienia działań wojennych. Nie da się zaprzeczyć, że jest w niej ziarno prawdy, choć na ile można w ten sposób generalizować – pozostawiam ocenie czytelników recenzji i pracy panów Arnolda i Reinertsena.

Z drobniejszych dostrzeżonych usterek wspomnę jeszcze o dwóch:

Na s. 150 w lewym górnym rogu jest „5 pułk dragonów” – na obrazku jest kawalerzysta w kirysie, wyglądający niemal identycznie jak znajdujący się pod nim żołnierz podpisany „4. pułk kirasjerów”, z kolei wygląda na to jakby kawalerzysta w prawym dolnym rogu był dragonem, i nawet numer pułku za siodłem się zgadza z podanym wcześniej podpisem. Tymczasem

podpis pod obrazkiem głosi: „Żelazny człowiek, czyli kirasjer w pełnym wyposażeniu”. Z tego wnoszę, że obrazki te zostały pomyłkowo zamienione.

Na s. 321 jako dowódca 1 Dywizji Ciężkiej Jazdy powinien być gen. Nansouty (jest „Nasouty”). Ponadto nie wiadomo dlaczego kolejna dywizja ciężkiej jazdy została przetłumaczona jako „2. Dywizja Ciężkiej Kawalerii” (raz „Jazda”, raz „Kawaleria”). Na s. 322 jako dowódca 1 Dywizji Dragonów powinien być gen. Latour-Maubourg (jest „Latour-Maburg”). Przyznam, że nie sprawdzałem dokładnie reszty OdB na końcu książki, a jedynie przejrzałem go pobieżnie.

Jeśli chodzi o samo tłumaczenie, generalnie nie mam większych uwag, poza tym co powyżej. Redakcja merytoryczna, jak już wspominałem – świetna. Natomiast najslabszym ogniwem od strony wydawniczej jest korekta – literówek w książce jest niestety dużo. Również niektóre obrazki są nieco rozmyte.

Jak już po części pisałem, książka zawiera na końcu duże mapy najważniejszych bitew, ponadto w tekście jest kilkanaście mniejszych mapek z naniesionymi pozycjami wojsk. Te ostatnie wydają mi się lepsze. Do tego w środku mamy nieco czarno-białych ilustracji i wspomniane wyżej schematy ugrupowania wojsk. Całość zamyka obszerne Ordre de Bataille obu stron konfliktu.

Podsumowując, dzieło Arnolda i Reinertsena to książka przede wszystkim „do czytania”, bardzo dobrze i przystępnie napisana. Pozycja ta warta jest z pewnością uwagi także osób bardziej zainteresowanych tematem, ze względu na brak większych opracowań w języku polskim dotyczących bitwy pod Frydlandem. Bardzo szeroko przedstawiono w niej także oblężenie Gdańska. Niektóre wspomniane w recenzji wady udało się zniwelować za sprawą wnikliwej redakcji Mariusza Promisa, która poprzez bogate przypisy, niekiedy pozwoliła je wręcz przekuć w zalety, tak że dzieło jako całość wyraźnie na tym zyskało. Sądzę, że czytając należy brać poprawkę na podejście autorów do pewnych kwestii, dające się łatwo wychwycić, zwłaszcza w oparciu o lekturę podsumowania. Unikniemy dzięki temu schodzenia na manowce.

Autor: *Raleen*

Opublikowano 04.03.2013 r.